

Zygmunt Ziątek

Polskie i afrykańskie historie przygodne : o początkach reportażu Ryszarda Kapuścińskiego

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 98/3, 5-20

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZYGMUNT ZIĄTEK
(Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa)

POLSKIE I AFRYKAŃSKIE HISTORIE PRZYGDNE
O POCZĄTKACH REPORTAŻU RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO*

1

Podtytułem *Historie przygodne* opatrzył Ryszard Kapuściński swoje krajowe reportaże, wydane w debiutanckiej książce *Busz po polsku* w „Czytelniku” w roku 1962. Cóż znaczy to intrygujące określenie? Najlepiej przekonać się na przykładzie. Oto w 1959 roku zamiast realizować zaplanowany temat reportażu z kopalni „Aleksandra-Maria”, autor przyłącza się do grupki pięciu górników konwojujących na Mazury trumnę ze zwłokami Stefana Kanika, ofiary wypadku górniczego. Jadą zdezelowaną ciężarówką, która nieodwołalnie psuje się 15 kilometrów przed celem. Nie próbują już jej naprawiać, nie szukają innego środka transportu, decydują się donieść trumnę na własnych barkach. Musi być ciężko, bo zmieniają ramiona co 100 metrów. Już po 3 kilometrach (akurat robi się ciemno i zaczyna się las) postanawiają wypocząć, wysuszyć przy ognisku spocone koszule, zanim ruszą dalej. Ale z lasu wyłania się 8 dziewcząt, wracających z wycieczki, i postój zamienia się w nocny piknik ze zmarłym ukrytym w krzakach. Czy można cieszyć się życiem tak blisko śmierci? Czy głodni dziewczyn chłopcy z robotniczego hotelu pójdą dalej z ciężarem swej lekkomyślnie podjętej misji, czy też raczej – „pójdą za kiecką”? Ten zmarły to już nie tylko Stefan Kanik, ledwie poznany kolega. „Był nam nie znany ten sztywny i dlatego łatwo mogliśmy go sobie utożsamiać z każdym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się spotkać na świecie” (B 134)¹. Decyzja o podjęciu marszu to nie tylko szukanie wyjścia z trudnej sytuacji: „Już lepiej iść, lepiej go dźwigać! Przyjąć jakąś czynną postawę, poruszać się, mówić, [...] udowodniać światu i sobie, przede wszystkim sobie, przynależność do królestwa żywych [...]” (B 128–129). To także „danina wyrzeczenia, uległości, dobrowolnej zgody na tak dziwacznie uformowany los” (B 131). Wreszcie – czy ta wędrówka, opisana w tekście pt. *Sztywny*, opublikowanym w połowie roku 1959 w „Polityce”, nie staje się czasem metaforą życia w ogóle?

* Jest to fragment książki o Ryszardzie Kapuścińskim przygotowywanej razem z dr Beatą Nowacką z Uniwersytetu Śląskiego dla wydawnictwa „Znak”.

¹ W ten sposób odsyłam do: R. Kapuściński, *Busz po polsku. Historie przygodne*. Warszawa 1962. Liczba po skrócie wskazuje stronę.

W końcu poszliśmy dalej. Spotkał nas świt. Ogrzało nas słońce. Myśmy szli. Gięły nam się nogi, drętwiały ramiona, puchły ręce, ale przecież donieśliśmy na cmentarz, do grobu – tej ostatniej naszej przystani na świecie [...]. [B 136]

Cóż więc kryje się w formule „historie przygodne”? Najpierw to, że Kapuścińskiemu najpewniej nie chciało się już pisać zaplanowanych, poprzedzonych metodycznym „zbieraniem materiału” reportaży z wielkich zakładów pracy. Wolał, jak widzimy, skorzystać z pierwszej okazji, żeby wymknąć się w nieznaną, otworzyć na niespodziankę, uczynić to, co miał napisać, dziełem przypadku, nieoczekiwanego zdarzenia, przygody właśnie. Jeszcze kilka opowieści z tego tomu nosi cechy przygodności podobnego rodzaju. Do bohatera *Lamusa*, nauczyciela historii (kolegi ze studiów zresztą), zawrócił autor z szosy pod Augustowem – po otrzymaniu informacji o nim od przypadkowego współautostopowicza. Rozmówców z *Parterów*, wędrownych robotników niewykwalifikowanych, spotkał na szosie z Bielawy do Nowej Rudy. Opowieści o harc mistrzu-społeczniku z Małdyt (*Słoneczny brzeg jeziora*), flisaku z mazurskich jezior (*Ocalony na tratwie*), osadniku spod Grunwaldu (*Piątek pod Grunwaldem*) mają charakter zapisu przypadkowych spotkań, związanych z weekendowymi lub wakacyjnymi wyjazdami na Mazury – teren turystycznych eskapad, zyskujący na popularności od połowy lat pięćdziesiątych XX wieku.

Mazur, zwłaszcza północno-wschodnich, tzw. Garbatych (i Suwalszczyzny), jest u Kapuścińskiego w ogóle bardzo dużo, co tekstom o najpoważniejszej nawet problematyce nadaje pewien posmak egzotycznej przygody, wynikający choćby z pierwotnej urody krajobrazu pogranicza, także kulturowego (pozostałości niemieckie oraz sąsiedztwo białoruskie), i z trudności dotarcia do rozmaitych prowincjonalnych kątów. Wiemy, że pisarz czasem musiał podróżować kolejno pociągiem, autobusem, furmanką, autostopem, piechotą... Odnajdujemy ten posmak w *Wymarszu piątej kolumny* (dwie niemieckie kobiety uciekają z domu starców i wracają do Olecka, bo przyśnił im się wybuch nowej wojny), w opowieściach *Daleko czy Reklama pasty do zębów*, przedstawiających humorystyczne i dramatyczne aspekty wkraczania „nowego” do Pratek i Cisówki, w *Dance*, studium zakłamań małomiasteczkowej mentalności, czy w ufilozoficznym wspomnieniu z obozu wojskowego w mazurskiej puszczy *Drzewa przeciw nam*.

Brak entuzjazmu do opisywania wielkich zakładów pracy nie powinien nas dziwić. I nie chodzi tylko o niechęć do tzw. problematyki produkcyjnej – zajmowanie się podobnymi zakładami w okresie poprzednim także nie oznaczało fascynacji tą właśnie problematyką. Ale ich rzeczywistość mieściła się wówczas w perspektywie najważniejszych dla Kapuścińskiego spraw: historii, pokolenia, ideałów nowego ustroju. Teraz, w 3 lata po rozpadzie tej perspektywy, po klęsce dotychczasowej formuły publicystycznego zaangażowania, zainteresowanie dla wielkich nawet przedsięwzięć inwestycyjnych ma dla niego najprawdopodobniej charakter koniecznego dziennikarskiego serwitutu.

Od kilku miesięcy Kapuściński jest dziennikarzem „Polityki”, tygodnika, który powstał na pół roku przed rozwiązaniem „Po prostu” jako przeciwwaga dla tego zbuntowanego, nieformalnego organu młodej inteligencji, a od jesieni 1957 pełni rolę jego przymusowo narzuconego zastępstwa. W roku 1959 niewiele jeszcze zapowiada przyszlą pozycję tygodnika, jaką wywalczy sobie upartym i pragmatycznym poszerzaniem granic tego, co wolno powiedzieć (a także stwarzaniem warunków pracy dla indywidualności dziennikarskich), ale wydobywa się on już z bojkotu, na jaki natrafił początkowo w środowisku dziennikarzy, zwłaszcza –

zawiedzionych czytelników „Po prostu”. Dzieje się tak m.in. wskutek systematycznego poszerzania grona pracowników i współpracowników redakcji o dziennikarzy owego pisma oraz dawnego zespołu „Sztandaru Młodych”. Jeden z nich, Dariusz Fikus, długoletni potem sekretarz redakcji i ważna postać Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, namówił Kapuścińskiego do przyjęcia posady w dziale reportażu „Polityki” i wybawił go w ten sposób od dalszego ślęczenia nad depepszami w Polskiej Agencji Prasowej.

Jego pisanie niezłe odzwierciedla sytuację dziennikarza w periodyku w tym czasie. Kapuściński opowiada o wielkich budowach, kopalniach czy o problemach pracy partyjnej w Żorach (i to są teksty, które nie wejdą do książki), ale kiedy tylko może, umyka od rozmaitych centralnych tematów – na boczne drogi, do prowincjonalnych miejscowości, na peryferia i marginesy. Przeciętnie spędza trzy tygodnie „w terenie”, a jeden – w redakcji. Nie jest w tym odosobniony. Prowincjonalne i wielkomięskie peryferia przeżywają wtedy wielki awans w odradzającym się reportażu. To tam szuka się „prawdziwej” (zróżnicowanej, dotąd zakłamywanej) rzeczywistości i wyzwolenia pisarstwa z socrealistycznych schematów. Ale teksty Kapuścińskiego mają na tym tle swoją własną, do dziś rozpoznawalną dominantę. Może nie wszystkie one są „historiami przygodnymi”; wszystkie jednak umieszczają bohaterów lub autora w okolicznościach umożliwiających jakieś nieoczekiwane zdarzenie – o wymiarze raczej jednostkowym niż zbiorowym, ważnym w perspektywie raczej losu indywidualnego niż jakiegoś procesu społecznego czy historycznego. Mówiąc inaczej: skoncentrowane są na postawach, na sytuacjach (niekiedy skrajnie trudnych), poddających sprawdzianowi (czasem nagłemu, jak w owym *Sztynym*) jednostkową zdolność wyboru i rozpoznawania wartości.

Interesuje autora przede wszystkim możliwość ocalenia wartości takich, jak aktywna, twórcza postawa, międzyludzka solidarność, zachowanie poczucia godności i suwerenności. Brawurową opowieścią na ten temat jest *Wydma* – rzecz o pięciu życiowych rozbitkach, którym nigdy nic się nie udało, a którzy, spotkawszy się dość przypadkowo na ruinach jakiegoś PGR-u w lasach za Elkiem, „ocalając skrawek ziemi ocalili siebie”. „Czego mogli chcieć przedtem? Żeby spróbować jeszcze raz. Żeby mieć szansę. I szansa była im dana” (B 57) – podsumowuje pisarz tę opowieść i są to słowa dobrze charakteryzujące wymowę pozostałych tekstów. Bo nie chodzi w nich o łatwą pochwałę aktywności, o krzepiące obrazki, które dowodziłyby, że nie wszystko się zawaliło. Raczej – o ów moment próby, której trudno jest sprostać, o ów cień szansy, którą tak łatwo jest przegapić. Toteż większość opowieści przedstawia tych, którzy, świadomie czy nieświadomie, przegrywają, rozmijają się ze swoją szansą. Są to koledzy, uniwersyteccy asystenci, którzy, mitologizując siłę prostoty, uwznioślają i fetyszyzują własne zagubienie (*Ocalony na tratwie*). I są to owi wędrowni robotnicy niewykwalfikowani (z reportażu *Partery*), którym na niczym nie zależy, bo na stałe wybrali margines, jak mówią: „My, panie, nie pchamy się do góry. My sobie tu dołem, parterem” (B 60). Należy do nich także były ZMP-owiec, co to umiał żyć na najwyższych obrotach, „spalać” się w działaniu, a nie potrafi odnaleźć się w czasie stabilizacji i zwycięstwa prostych ideałów życiowych, który czyni go kombatantem jakiejś zamierzchłej epoki (*Lamus*). I należą tu wszyscy, u których można wykryć postawę kibica, (zastępującą postawę uczestnictwa, ryzyka, życia naprawdę) – czy to rzeczywiście w dziedzinie sportu (*Wielki rzut*), czy, metaforycznie, w życiu zawodowym (*Spokojna głowa gapy*) lub w sztuce i literaturze (*Bez adresu*).

Zainteresowanie problematyką indywidualnych postaw (zwłaszcza – możliwościami ocalenia postawy twórczej, wiernej wartościom), połączone z wyczuleniem na element przygody, ryzyka, wyzwania, sprawdzianu – wydaje się naturalną konsekwencją upadku wiary w zbiorowe tworzenie historii. Cóż innego – można zapytać – pozostaje człowiekowi, którego wiary nadużyto, który jednak nie stracił woli i pasji działania? Musi teraz na własną odpowiedzialność podejmować wyzwania, na własny rachunek ponosić ryzyko aktywności. Ale nie da się nie zauważyć, że tej naturalnej konsekwencji klęsk i rozczarowań poprzedniego okresu bardzo sprzyjała ówczesna sytuacja literacka, którą charakteryzowało niesłuchanie intensywne nadrabianie zaległości przekładowych, spowodowanych wojną i izolacją pierwszego dziesięciolecia powojennego. W późnych latach pięćdziesiątych na wygłodzony polski rynek trafiły jednocześnie najwybitniejsze osiągnięcia światowej literatury lat trzydziestych i czterdziestych, literatury „doli człowieczej”, „kondycji ludzkiej”, „przygody egzystencjalnej” – literatury wyrastającej z przeżycia krachu dotychczasowego porządku świata (pierwsza i druga wojna, wielki kryzys lat trzydziestych) i stanowiącej przez to przykład, inspirację dla polskich poszukiwań literackich w sytuacji kolejnego rozpadu utopii oraz poszukiwania gruntu dla wartości. Wpływ tej literatury, w spychologizowanej i ufilozoficznej wersji francuskiej (Mauriac, Bernanos, Saint-Exupéry, Malraux, Camus, Sartre) i w zbehawioryzowanej wersji amerykańskiej (Hemingway!), na ukształtowanie się prozy polskiej końca lat pięćdziesiątych był jawny, powszechnie dostrzegany – tak u pisarzy najlepszych i doświadczonych (*Wzlot* Jarosława Iwaszkiewicza), jak i u początkujących. Podejmowanie trudnej problematyki etycznej: wyboru, odpowiedzialności wobec innych i samego siebie – w sytuacji braku stabilnego ładu i autorytetów – stało się na pewien czas jakimś obowiązującym standardem, znakiem ambicji i nowoczesności. Bo, jak pisał np. Henryk Berez a na marginesie opowiadań najmodniejszego prozaika, Marka Hłaski:

życie wymaga od każdego człowieka w każdej chwili rozstrzygnięcia spraw jak najbardziej ogólnych, jak żyć, żeby obronić sens życia, jak chronić się przed jego okrucieństwem, jak znaleźć w sobie możliwość zgody z nieuniknionością jego praw ².

„Przygodne historie” Kapuścińskiego z pewnością nie pozostały obojętne na atmosferę intelektualną czasu, ona uczyniła z tych reportażowych opowieści coś w rodzaju przypowieści filozoficznych. W niektórych, jak choćby w cytowanym *Sztynnym*, można dostrzec wyraźny wysiłek wpisywania uniwersalnych sensów w przygodne zdarzenie. Za sprawą tej atmosfery Kapuściński jakby ominął jakiś etap rozwoju; od publicystycznego reportażu dziennikarskiego przeskoczył od razu na pogranicze prozy beletrystycznej. Potwierdzi się to po opublikowaniu *Buszu po polsku*. Jest znamienne, że w odbiorze krytycznym pierwszego wydania książkowego debiutu Kapuścińskiego bodaj więcej uwagi poświęcono ambicjom i walorom literackim tego „szczególnego rodzaju pisarstwa reportażowego” niż jego efektom poznawczym. Stwierdzał Berez a w „Roczniku Literackim”:

Kapuściński stosuje w reportażach najrozmaitsze chwyt y narracyjne i stylistyczne prozy artystycznej. Przy wielkiej różnorodności tematycznej [...] nie zapomina, żeby każdy jego utwór

² H. Berez a, *Duch nowy i forma nowa*. „Nowa Kultura” 1956, nr 35. Przedruk w: *Sposób myślenia*. T. 1: *O prozie polskiej*. Warszawa 1989.

reportażowy był opowiadaniem we właściwym mu „stylu amerykańskim” [...], gorliwie pod słuchuje język mówiony³.

To wpisanie się Kapuścińskiego w istotną problematykę ówczesnej polskiej literatury było na tyle doniosłe, że spowodowało pierwszą chyba po wojnie dyskusję na temat miejsca reportażu w piśmiennictwie – zainaugurowaną zresztą niewątpliwym skandalem. W listopadzie 1960, w kilkanaście miesięcy po opublikowaniu *Sztynnego* w „Polityce”, periodyk teatralny „Dialog” przyniósł tekst sztuki Bohdana Drozdowskiego, jednego z głośniejszych autorów wstępującego pokolenia, pt. *Kondukt*, jawnie wtórnej wobec pomysłu tego opowiadania, które – mimo oczywistych ambicji literackich – zostało tu potraktowane jak gazetowy materiał dziennikarski o obojętnej dla jego zawartości formie. Kapuściński zaprotestował najpierw nieformalnie, a Drozdowski miał początkowo uznać zasadność tego protestu i zaproponować mu współautorstwo w momencie inscenizacji⁴. Jednak zapowiedź prapremiery sztuki w teatrze w Zielonej Górze rok później wymienia jednego tylko autora, co świadczy o złamaniu tej dżentelmeńskiej umowy. Kapuściński nie ma innego wyjścia niż upomnieć się publicznie o swoje prawa, oskarża więc Drozdowskiego o plagiat⁵. Wybucho prawdziwa awantura. Drozdowski jest zastępcą redaktora naczelnego „Współczesności”, która mobilizuje wszystkie siły w jego obronie. W sprawę włączają się inne pisma, sążniste listy „za” i „przeciw” oraz komentarze drukowane są w „Polityce”, „Współczesności”, „Kierunkach”, „Nowej Kulturze”, „Szpilkach”, „Prasie Polskiej”⁶. Głos zabierają autorytety literackie: Julian Przyboś, Antoni Słonimski, Wilhelm Mach, Jerzy Putrament. Zarząd Główny Związku Literatów Polskich powołuje specjalną komisję i w oparciu o jej rozpoznanie wydaje werdykt: Drozdowski nie jest winny plagiatu, mamy do czynienia ze „zbieżnością pomysłów”⁷.

Rozgłos wokół *Sztynnego* dotrwał do czasu opublikowania *Buszu po polsku* i być może to on spowodował, że większość recenzentów podejmowała przy okazji zagadnienie nowych możliwości i nowego miejsca reportażu. Włodzimierz Maciąg zobaczył je w zaniechaniu tematów związanych z „rzeczywistością przedmiotową”, tj. budowami, fabrykami, zwrócenie się ku człowiekowi, jego niezwykłości, „pewnej swoistej egzotyce dziejącej się wokół nas”⁸. Stanisław Dan spostrzegł, że „reportaż wtapia się w literaturę coraz bardziej, coraz nierozłączniej”⁹, i że dzieje się to wskutek pominięcia kryteriów ważności publicystycznej, a skupieniu się na interpretacji problemów w horyzoncie wartości literackich.

Polemiki w sprawie plagiatu zapiszą się na trwałe w dziejach walki reportażu o usamodzielnienie się tego gatunku, o przyznanie mu autorskiej i literackiej ran-

³ H. B e r e z a, *Powieść, opowiadanie, reportaż*. „Rocznik Literacki” za rok 1962 (wyd: 1964), s. 102.

⁴ Zob. *Dalszy ciąg dramatu. List Ryszarda Kapuścińskiego do redakcji „Polityki”*. „Polityka” 1961, nr 45, s. 12.

⁵ Zob. *ibidem*.

⁶ „Współczesność” 1961, nr 23, s. 3; 1962, nr 2, s. 8–9, nr 4, s. 11. – „Polityka” 1961, nr 47, s. 12; nr 48, s. 1–2. – „Sztandar Młodych” 1961, nr 282, s. 3. – „Nowa Kultura” 1961, nr 48, s. 1. – „Prasa Polska” 1962, nr 1, s. 9–10; nr 3, s. 34–35. – „Kierunki” 1962, nr 4, s. 2.

⁷ *Komunikat Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich z dnia 2.02.1962 r.* „Współczesność” 1962, nr 4, s. 3.

⁸ W. M a c i a g, *Debiut reportażysty*. „Życie Literackie” 1962, nr 37, s. 11.

⁹ S. D a n, *Miejsce reportażu*. „Nowa Kultura” 1962, nr 49, s. 11.

gi równej literaturze fikcji. Zapiszą się też w legendzie biograficznej autora jako kogoś, kto pierwszy miał odwagę czynnie nie zgodzić się, żeby w utworze dziennikarskim widzieć dzieło niczyje. W istocie jednak świadczą one o pełnym nieprzygotowaniu opinii literackiej do zaczynającej się (a może wracającej po socrealistycznej przerwie?) praktyki zacierania różnic gatunkowych. Przedstawiciele środowiska pisarskiego kierowali się dość sztywnymi i tradycyjnymi kryteriami „literackości”, co pozwalało im orzekać o samodzielności sztuki Drozdowskiego, bo w konfrontacji z jej obficie a odmiennie rozbudowanymi postaciami i dialogami zbieżność sytuacji obydwu utworów była rzekomo czymś zupełnie drugoplanowym. Dziennikarze skorzystali z okazji, żeby upomnieć się o prawo do równorzędnego traktowania. A przecież *Sztywny* wcale nie należał do czystego dziennikarstwa i najprawdopodobniej sam Kapuściński nie miał pewności, czym ten jego utwór jest. Świadczyć o tym mogą pewne niekonsekwencje w wywodzie oskarżenia o plagiat. Z jednej strony, pisarz bronił autorskiego prawa „skromnego dziennikarza z terenu”, z drugiej – zapewniał: „cały pomysł sytuacyjny opowiadania powstał w mojej wyobraźni”¹⁰. Wygląda na to, że nie było języka, jakim dałoby się wyrazić wysiłek wyobraźni twórczej i refleksję filozoficzną w opisie zdarzenia, w którym naprawdę się uczestniczyło i które naprawdę miało charakter przypadku.

Jakkolwiek było, Kapuściński sytuował się ze swoimi „historiami przygodnymi” na pograniczu reportażu oraz prozy beletrystycznej i nie za dobrze chyba wiedział, do którego z pisarskich światów, radykalnie wówczas od siebie oddzielonych, należy. Pewien był tylko, że to, o czym ma pisać, musi być przez niego osobiście doświadczone, samodzielnie przeżyte. W satyrycznej opowieści o młodych literatach (jeden z nich „wysiadł z dziennikarki”) pod metaforycznym, choć sytuacyjnie usprawiedliwionym tytułem *Bez adresu*, w której można doszukać się ogólniejszej refleksji nad pisaniem, czytamy i taką oto filipikę (włożoną w usta kogoś, kto sytuację krańcową przeżył naprawdę) przeciwko kibicom środowiska literackiego:

W was nie ma żadnego życia, żadnej chęci, żadnego ognia. [...] Coś ty przeżył [...]? Co ty wiesz o świecie? [...] Widziałeś śmierć? Wiesz, co to miłość? Zdychałeś z pragnienia? Zżerała Cię ambicja? Dławiła Cię zazdrość? Płakałeś ze szczęścia? Gryzłeś z bólu paluchy? [...] Chcicie pisać książki? Robić filmy? A powiesz mi, o czym? [B 66–68]

2

W czasie pisania „historii przygodnych” ukształtował się u Kapuścińskiego nowy czynnik zainteresowania rzeczywistością: potrzeba doznawania jej i poznawania na własnej skórze, na własne ryzyko i odpowiedzialność, najlepiej – w sposób nie całkiem zaplanowany, co łączy się ze spontanicznym podejmowaniem wyzwania losu i poddawaniem się nieoczekiwanym próbom. Dotąd kierowała pisarzem potrzeba zaangażowania się w jakąś wielką sprawę – chęć utożsamienia się z ludźmi zmieniającymi świat i kształtującymi jego nową historię – i potrzeba ta, nie bardzo znajdując już możliwość realizacji w kraju, zwracała jego wzrok ku rejonom globu rozpoczynającym dopiero swoją nową historię, zwłaszcza ku Afryce. Teraz widzimy, że dołączył się do niej głód wielkiej przygody (intensywności doświadczenia), razem z tymi literackimi i filozoficznymi treściami, w które ob-

¹⁰ *Dalszy ciąg dramatu*, s. 12.

rosła ona na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i które można było pogłębiać w nieskończoność cofając się do zaktualizowanych wtedy dzieł Saint-Exupéry'ego, Malraux, Conrada...

Nie trzeba dodawać, że i ten głód nie mógł być łatwo zaspokojony w kraju. Zaczynał się właśnie okres nazwany wkrótce „małą stabilizacją”, której towarzyszyło zjawisko „małego realizmu” w literaturze i ograniczenie zainteresowań reportaży do problematyki społeczno-obyczajowej, co jego autorzy rekompensowali sobie ambicjami literackimi. Kapuściński wiedział, co mu grozi. W pierwszym wydaniu debiutanckiej książki znajdujemy reportaż z wędrowki po nowej warszawskiej kamienicy (*Dom*), zasiedlanej właśnie przez ludzi i rodziny z bardzo różnych środowisk, o bardzo różnej przeszłości. I co? I nic. „Czego tu szukam?” – „Takie oto sprawy nizam sobie w notesie. Drobiazg, mały realizm, sardynki” – notuje reporter (B 119, 123), nie kryjąc zmęczenia, zniechęcenia i rozczarowania rezultatami wielogodzinnej dreptaniny.

Dwie potrzeby wypychały Kapuścińskiego z kraju i zdziwilibyśmy się bardzo, gdyby nie skorzystał z pierwszej okazji, żeby posmakować tajemnic Czarnego Łądu i trudu budowania nowego, niepodległego państwa (pierwszego na południe od Sahary) zarazem. Toteż i skorzystał – pod koniec 1959 roku przyjął ofertę dziennikarskiego wyjazdu do Ghany, nie napotykając zresztą większej konkurencji wśród kolegów, którzy woleli stolice Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych.

W Ghanie Kapuściński poczuł się od razu swojsko, bardziej swojsko w każdym razie niż w Indiach, Chinach i gdzie tam jeszcze zdarzyło mu się do tej pory przelotnie przebywać, ale początkowo wynikało to nie tyle z przyjaznego charakteru Ghany czy Afryki w ogóle, ile – z pozostawania w pewnej aurze literackiej, znanej nam z krajowych „historii przygodnych”, która dała się przenieść do Afryki i nawet potrafiła tymczasowe miejsce zamieszkania uczynić domem. Czytamy w prasowym pierwodruku tekstu *Hotel „Metropol”*:

Miałem dość włóczęgi. Wracalem z buszu, z sawanny, z pustyni. Byłem szerniały, wychudły, skończony. Z ulgą wchodziłem po schodach na piętro – do hotelu. Idąc czułem już zapach domu, szczególnie i nieokreślony [...]. W dwudziestu krajach spałem w setkach hoteli, ale dopiero ten przyjmowałem jako dom i wchodziłem do niego z radością¹¹.

Ten nasycony symbolicznymi sensami „dom”, zawieszony w przestrzeni jak napowietrzna tratwa, „nie uwiązany do żadnej barki”, nie należący do społeczności murzyńskiej ani do zbiorowości białych, jest przeniesionym z egzystencjalistycznych nastrojów prozy krajowej architektonicznym dziwolągiem, zamieszkałym przez kilku życiowych rozbitków, borykających się samotnie z resztkami swojego przetrąconego losu albo szukających pociechy we wspólnym popijaniu, którego i Kapuściński nie unika:

W tropiku picie jest przymusem. Człowiek czuje się tam rozbity jak stary kapeć. Jest zgaszony, bezżębny, workowaty. Dręczą go nieokreślone tęsknoty, niewysłowione nostalgii, mroczne pesymizmy. [...] No i pije. Przeciw nocy, przeciw chandrze, przeciw nieczystościom w kiblu swojego losu. Tylko na takie stać go zmaganie¹².

Narrator opowiadania, przybierający rysy wagabundy, tajemniczego przyby-

¹¹ R. Kapuściński, *Hotel „Metropole”*. „Współczesność” 1960, nr 13, s. 1. Cytując tę opowieść odwołuję się do pierwodruku, znacznie różniącego się (także pod względem zapisu tytułu) od wersji w *Czarnych gwiazdach* i w następnych edycjach.

¹² *Ibidem*.

sza z innego świata (nazywają go tu „Red” – Czerwony), tym się wyróżnia w owej międzynarodowej wspólnocie rozbitków, że w trakcie samotnych wypraw w głąb łądu szuka wyzwań prawdziwych. Wraca z nich z pięknymi i niesamowitymi opowieściami (jak przytoczona w pierwodruku, a pominięta w następnych edycjach opowieść o targowisku mięsnym i sępach w Tamali), którymi dzieli się ze stęsknionymi kompanami od piwa i whisky niby z członkami rodziny (najważniejsze postacie to Papa, Wujek Wally...) – opuszczonej czasowo, wierzącej jednak, że nie została zdradzona na rzecz apartamentu w prawdziwym hotelu. Ale udaje się też (wiemy to z pisarskiego plonu pierwszej podróży afrykańskiej) na skromniejsze wędrówki reporterskie po Akrze i one prowadzą go do odnalezienia poczucia wspólnoty mniej wymyślnego literacko, lecz równie swojskiego, bo podobnego nieco do tej więzi pokoleniowej i ideowej, która jeszcze niedawno łączyła go z rówieśnikami z ZMP.

„Kogoś mi przypomina i czegoś mu zazdroścę”¹³ – podsumowuje Kapuściński spotkanie z Dedem, młodym działaczem partyjnym, oddelegowanym do pracy w związkach zawodowych, dla którego legendarny twórca niepodległości Kwame Nkrumah jest już za mało rewolucyjny. Ded z przyjaciółmi studiuje w ukryciu *Historię Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)*. Krótki kurs, nie chcąc zarazić się „burżuazyjnością” rezygnuje z wyjazdu do USA na stypendium Forda (marzy raczej o nauczaniu się „prawdziwego” socjalizmu gdzieś na wschodzie), szczęścia z narzeczoną zamierza szukać we wspólnej walce, a nie w intymnym, prywatnym związku. Także inni młodzi politycy i działacze spotkani przez Kapuścińskiego przypominają naszych zetempowców albo rosyjskich komsomolców: np. niejaki Shardow, przewodniczący organizacji młodzieżowej partii Nkrumaha i twórca „Brygad Budowniczych” (przypominających brygady „Służby Polsce”), albo Kofi Baako, 32-letni Minister Oświaty i Informacji, zachowujący styl działania i sznyt młodzieżowca, którego żywiołowa przyjaźń pomogła autorowi poznać ważnych ludzi, miasto i kraj.

Mimo uczuć uznania, przyjaźni i zazdrości, jakie w Kapuścińskim budzi myślące z pasją o przyszłości i o socjalizmie afrykańskie „pokolenie rewolucjonistów”, utożsamienie się z nim pisarza nie może być pełne, bezwarunkowe. Choć młodszy, sprawia on wrażenie kogoś bardziej doświadczonego niż jego trzydziestokilkuletni nowi przyjaciele; już wie, do czego mogą doprowadzić i czym się kończą rewolucyjne nastroje. Przysłowiowym kątem oka dostrzega zjawiska, które wydają się zapowiedzią zwykłego totalitaryzmu. Wiemy, że manipuluje się związkami zawodowymi, organizacją młodzieżową, przynależnością do partii rządzącej (nieznana jest jej liczebność, niewykluczone, że wszyscy muszą do niej należeć i przymusowo płacić składki), limituje się możliwości działania opozycji. Uczestniczymy w dwóch wiecach – jednym: poparcia dla władzy, i drugim: sprzeciwu wobec niekorzystnej publikacji w prasie zachodniej – i widzimy, jak obydwie są wyreżyszerowane. Te wnikliwe obserwacje nie prowadzą wszakże do jakiegoś demaskatorstwa, wystarcza ich na pewien dystans – bardzo dobrze służący reportażowemu obiektywizmowi, na łagodną groteskę, na znaki zapytania, które trzeba wydobyć z literacko zmetaforyzowanych obrazków. Tak np. rewolucyjne zamiary wzmiankowanego Deda poznamy przy okazji budowy zamków na plaży – wprawdzie

¹³ R. Kapuściński, *Stracony dla Forda*. W: *Czarne gwiazdy*. Warszawa 1963, s. 83.

konstrukcja Afrykanina jest mocniejsza od ciągle rozsypującej się budowli autora, ale to w końcu tylko zamki z piasku. Kapuściński zdaje się nie przeceniać zagrożeń totalitarnych, ponieważ jest świadom słabości, zaczątkowości struktur państwa i władzy w ogóle – tego, że tworzą się one dopiero na styku importowanych wzorów europejskich i tradycyjnych struktur klanowo-plemiennych, co prowadzi do sytuacji humorystycznych, chętnie przez Kapuścińskiego eksponowanych. Minister oświaty, zapalony fotoamator i kibic, nie jest w stanie obronić powagi swojego urzędu w oczach kumpłowsko traktującej go młodzieży. Do premiera Nkrumaha przychodzi się ze skargą na męża...

Ta familiarność i bezpośredniość Afrykańczyków, prosta i przyjacielska w porównaniu z tajemniczością kultur Indii i Chin, byłaby może najważniejsza dla poczucia zadowolenia się pisarza w Afryce, gdyby nie problem białej skóry. Ona naznacza przybysza z Europy piętnem kolonialisty, każe w nim widzieć tego, co bił, wywoził, upokarzał i dyskryminował. Kapuściński musi przekonywać swoich przyjaciół i przygodnych rozmówców, że jest w Europie taki dziwny kraj, który nie tylko nie posiadał kolonii, ale i doświadczał czegoś znacznie gorszego niż kolonializm: rozbiorów i okupacji – z wojną, obozami, egzekucjami, codzienną dyskryminacją. I że w rezultacie tych dramatycznych doświadczeń historii Polska także niedawno dopiero podjęła zadania, przed którymi stoi nowe państwo afrykańskie: „Budowaliśmy miasta, do wsi przychodziło światło. Kto nie umiał, uczył się czytać” – mówi autor w opowieści zatytułowanej *Busz po polsku* (B 154)¹⁴. Argument wspólnych doświadczeń historycznych przekonuje ministra Bako, który udziela Kapuścińskiemu rekomendacji nie do zakwestionowania: „Ja go znam – powiedział – to Afrykańczyk. Jest to najwyższy komplement, jaki może spotkać Europejczyka. Wszędzie otwierają mu wtedy drzwi” (B 151). I przekonuje naczelnika wioski, który jakby pieczętował spełnienie się marzeń o braterstwie z Festiwalu Młodzieży i Studentów: „Nana wstał i uściśnął mi rękę. Teraz byliśmy friends, druzja, amigos” (B 154). Ale autorowi to nie wystarcza! Cytowana opowieść – znakomicie zresztą podtrzymująca atmosferę przygody w rodzaju *Sztynwego* („Utknęliśmy w przygodnym miejscu. [...] Było już ciemno, kiedy trzasnęła opona. Trzecia opona, wściekły pech”, B 150) – kończy się, pod pozorem zapadania w sen, czymś w rodzaju literackiego strumienia świadomości, wyrażającego tezę o nieprzekazywalności własnego doświadczenia i o niemożności uwolnienia się od niego podczas obcowania z odmienną rzeczywistością kulturową. Pisarz chciałby już czegoś więcej niż braterstwo doświadczeń socjologiczno-historycznych i ideologicznych, bo to, co na tej płaszczyźnie daje się przekazać, „to jest nic, nic z tego, co wiemy, co nosimy w sobie, nawet się nie zastanawiając, co jest naszą dumą i rozpaczą, życiem, oddechem i śmiercią” (B 155). Treści doświadczenia zewnętrznego są nierozzerwalnie splątane z życiem prywatnym i życiem wewnętrznym, głęboko zaszyfrowane, a klucz do szyfru leży w naszej kieszeni. „Wozimy go zawsze do obcych krajów [...]. Znamy jego schemat, ale nie sposób uprzystępnąć go drugim” (B 156).

Od czasu swojej pierwszej podróży afrykańskiej Kapuściński już wie, że nawet odnalezienie wspólnoty doświadczeń i dążeń historycznych nie zapewnia po-

¹⁴ Pierwodruk tej opowieści ukazał się w „Polityce” (1960, nr 12, s. 10), w cyklu *Ghana z bliska*.

konania bariery kulturowej odrębności, przeciwnie – wzmaga jakby świadomość jej istnienia. Nie wydaje się jednak, aby odkrycie to miało wówczas dla jego pisarstwa większe znaczenie. Poczuciu nieprzekazywalności własnego doświadczenia i nieprzekraczalności jego granic w kontakcie z innymi nie towarzyszy jeszcze wielka ciekawość inności, tęsknota za pokonaniem owej bariery i zagłębieniem się w otchłań innej kultury, próba utożsamienia się z jej uczestnikiem. Może dlatego, że pisarz wciąż pozostawał w obrębie zauroczeń egzystencjalizmem (który absolutyzował nieprzekraczalność granic własnej podmiotowości), a może dlatego, że zbyt zaprzątęła go warstwa bieżących zdarzeń politycznych, aby kontynuować refleksję antropologiczną na głębszym poziomie. Bo po powrocie dokonał jeszcze jednego odkrycia, przekonał się mianowicie – po odbyciu blisko 50 spotkań w niespełna pół roku we wszystkich środowiskach – że w Polsce istnieje ogromny głód wiedzy o Afryce i że głód ten dotyczy najświeższych przemian i wydarzeń politycznych: „Jak rządzą się Afrykańczycy w niepodległych państwach? Czy budują? Jak wyglądają szkoły?”¹⁵ Nie trzeba dodawać, iż to zainteresowanie napawało go głęboką radością. Dowodziło, że edukacja polityczna społeczeństwa w sprawach międzynarodowych nie poszła na marne i że ktoś taki jak on, tracący w kraju pisarski grunt pod nogami, może liczyć na odbiorcę bezinteresownie zaciekawionego fascynującym go akurat kontynentem.

Ostatecznie, to nie są sprawy naszego dachu nad głową ani naszych płac, ani zniżki cen na ubrania. [...] W sposób nieoczekiwany i nie zorganizowany sprawa afrykańska, jeden z największych problemów współczesnego świata, weszła w pole naszego widzenia i stała się przedmiotem naszej pasji¹⁶.

3

Od serii spotkań po pierwszej podróży afrykańskiej rozpoczyna się najprawdopodobniej doniosłe, niepisane porozumienie Kapuścińskiego z czytelnikami. Utwierdzają go oni w pewności, że pragną, za jego właśnie pośrednictwem, uczestniczyć w sprawach świata – tam gdzie akurat one się dzieją (i nie mieć mu za złe pozostawienia spraw polskich komu innemu), a pisarz (z wdzięczności, że znalazł sankcję dla tego, co i tak chciałby robić) obiecuje im nie szczędzić wysiłku i osobistego zaangażowania, żeby odpowiedzialnie zaspokoić ich ciekawość. Pierwszą próbą dla tego domniemanego porozumienia stała się już druga podróż afrykańska Kapuścińskiego, przedsięwzięta w niespełna rok po pierwszej. Pisarz wspomina po latach:

Gdzieś może w Olecku albo w Ormecie czytam, że w Kongo wybuchła wielka burza, prawie światowa. Są pierwsze dni lipca 1960. Kongo, najbardziej zamknięty, nieznany i niedostępny kraj Afryki, otrzymało niepodległość, ale zaraz zaczął się bunt armii, ucieczka kolonów, interwencja belgijskich spadochroniarzy, anarchia, histeria i rzeź. Gazety opisują na pierwszej stronie cały ten nieopisany melanż. Kupuję bilet i wracam pociągiem do Warszawy. [...] Proszę Rakowskiego o wysłanie mnie do Konga. Już wzięło mnie, już jestem w gorączce¹⁷.

Teraz Kapuściński nie czeka, aż ktoś zaproponuje mu wyjazd – wie, w którym miejscu jego pasje spotykają się z oczekiwaniami czytelników. Czując się ich specjalnym wysłannikiem, zrobi wszystko, żeby dotrzeć do wrzącego centrum ów-

¹⁵ R. Kapuściński, *Zaproszenie do Afryki*. „Polityka” 1960, nr 44, s. 3.

¹⁶ *Ibidem*.

¹⁷ R. Kapuściński, *Plan książki, która mogłaby zacząć się w tym miejscu (czyli moje tarapaty nigdy nie spisane)*. W: *Wojna futbolowa*. Warszawa 1978, s. 31.

czesnej afrykańskiej historii i opowiedzieć, jak jest naprawdę. A musi zrobić wiele, i to od samego początku. Bo kiedy już uzyskał zgodę na wyjazd, okazało się, że nowe władze Konga wydalili przybyszy z państw bloku radzieckiego i dostanie się drogą lotniczą do tego kraju mając polski paszport nie wchodziło w grę. Na pocieszenie Kapuściński otrzymuje bilet i dewizy na wyjazd do Nigerii. Jednak już go nie interesowała *jakakolwiek* Afryka. „Ale co mi Nigeria, nic nie dzieje się w Nigerii (w tym czasie)” – wspomina¹⁸. Dowiedziawszy się, że niejaki Jarða Bouček, czeski dziennikarz przebywający w Egipcie, planuje wyprawę do Konga przez Sudan (samolotem) i przemierzenie kongijskiej dżungli (samochodem), zamienia swój bilet i w zupełnej niemal tajemnicy leci do Kairu zamiast do Lagos. Udaje mu się przekonać stałego korespondenta „Rudého Práva”, że musi dostać się do Stanleyville (stolicy wschodniej prowincji Konga, gdzie schronił się obalony rząd aresztowanego już Lumumby) na polecenie polskich władz, i zostaje przyjęty na członka wyprawy, która powiększy się o dwóch jeszcze Czechów oraz, w końcowej fazie, o Rosjanina¹⁹. Ma tylko pozostawić testament w ambasadzie...

Planując drugą afrykańską wyprawę, Kapuściński nie myślał już najpewniej o szukaniu przeżyć na użytek nowych „opowieści przygodnych”, choć nie wykluczał takich, jakie towarzyszą pracy korespondenta wojennego, specjalnego wysłannika, może – kogoś, kto poczuwał się do wspólnoty ideologicznej z mieszkańcami kraju będącego ofiarą spisku z udziałem niedawnych ciemnych i gotów był dowieść tego czynem. „Polityka” opublikowała prywatny list autora do redakcyjnych kolegów, pisany z Chartumu w przeddzień najtrudniejszego, jak się wydawało, etapu podróży „przez najgęstsze dżungle Afryki [...], przez tereny, które zamieszkują plemiona zupełnie pierwotne, rozumiejące tylko tyle, że biały to belgijski kolonialista”²⁰. List ten świadczy, że pisarz z pełną gotowością i zawadiacką odwagą szykował się do przygód tego rodzaju:

Wiecie, to będzie się jechać 900 kilometrów przez zwartą dżunglę ze świadomością, że w każdej chwili wygarną serię z gęstwiny w ten samochód. Bardzo mnie ta podróż ciekawi. [...] Najbardziej intrygujące jest to, że jedzie się zupełnie na ślepo. Nic nie wiadomo. Ani jak dojechać, ani gdzie mieszkać, ani czym płacić, ani z kim rozmawiać. NIC. Sytuacja jest taka, że można od razu wpaść w ręce Mobutu, no i wtedy koniec. W Kongu jest za wiele frontów, żeby móc się zorientować. Luźne grupy obu stron poruszają się po całym kraju i tylko od losu szczęścia będzie zależało, pod czyje skrzydła najpierw się dostaną. [...]

Trzymajcie za mnie palce. Postaram się nie zawieść²¹.

Kapuściński nawet znalazł się „pod skrzydłami” lumumbistów, ale okazało się, że jego sympatie ideologiczne i zaangażowanie nie mają żadnego znaczenia wobec bariery koloru skóry.

Myślałem pójść i wytłumaczyć: jestem z Polski. Mając szesnaście lat wstąpiłem do organizacji młodzieżowej. Na sztandarach tej organizacji wypisano hasła braterstwa ras i wspólnej walki z kolonializmem. [...] Byłem z wami całym sercem, w każdej chwili mojego życia. [...] Jestem z wami i chcę tego dowieść czynem²².

Razem z czeskimi kolegami próbował przyłączyć się do ofensywy przeciwko mobotowcom. Nie skończyło się to tragicznie tylko dlatego, że nieoceniony Bouček

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ Zob. R. Kapuściński, *Kongo z bliska*. „Polityka” 1961, nr 12, s. 1.

²⁰ R. Kapuściński, *List z Afryki*. „Polityka” 1961, nr 6, s. 9.

²¹ *Ibidem*.

²² R. Kapuściński, *Ofensywa*. W: *Czarne gwiazdy*, s. 134–135.

mógł wylegitymować się oficerowi pisanym po arabsku prawem jazdy ważnym w Egipcie – kraju Nassera, którego imię było wtedy święte w całej Afryce. Duże rozczarowanie! Także sama wojna okazała się zjawiskiem mniej widowiskowym i mniej znaczącym, niż można było oczekiwać, przede wszystkim zaś – trudnym do zrozumienia dla kogoś, kto, jak Kapuściński, dysponował pamięcią o najstraszniejszej z wojen. Pisarza razem z towarzyszami zatrzymywały patrole obydwu zwaśnionych stron, ale ważniejsze od tego, na kogo się trafi, było posiadanie właściwego podarunku... Oddziały przeprowadzające ofensywę na Luluabourg, stolicę prowincji Kasai o powierzchni połowy Polski, które mieściły się w pięciu ciężarówkach, zajęły bez bitwy miasto (bo kongijscy żołnierze nie lubią strzelać do siebie), po to, by po tygodniu przejść razem z nim na stronę Mobutu – w zamian za prowiant... Historia w Afryce – w postaci spisków, przewrotów, skrytobójstw – dzieje się po cichu, gdzieś za kulisami i wcale nie jest łatwo do niej dotrzeć, a kiedy już Kapuściński o nią się otrze, to nie będzie umiał, czy mógł, o niej napisać.

Bo wkrótce po przybyciu dziennikarzy do Stanleyville zamordowano w okrutny i upokarzający sposób Lumumbę, co uwielbiających go Kongijczyków pobudziło następnego dnia do ślepego odwetu skierowanego przeciw wszystkim białym, zwłaszcza tym, których żołnierze rozprężonej armii oraz rozwścieczeni bojówkarze znaleźli w hotelach. Kapuścińskiego i jego towarzyszy uratowało najpierw to, że do ich pokoi nie wchodziło się z korytarza, nie od razu więc zostali znalezieni (z okna mogli zobaczyć, co ich ominęło: katowanie na ulicy i wrzucenie do ciężarówki), a potem nieprawdopodobny wręcz przypadek: dowódcą bojówki przykładającej im lufy do głów okazał się lumumbista, z którym Czech Jarša przeprowadzał wywiad w Kairze! Jednak to cudowne ocalenie nie na wiele się przydało. Ze Stanleyville, w którym zaczynała brakować wszystkiego i w którym zanosilo się na powolną śmierć głodową albo śmierć z ręki zdziczałego wojska (przed czym ostrzegali sami bezradni dowódcy), nie było jak się wydostać! Pomocy udzieliła im wreszcie, z największą niechęcią, misja obserwacyjna ONZ (narażając się na zarzut naruszenia neutralności). Ale wskutek tej pomocy znaleźli się w jeszcze gorszej sytuacji, bo zostali wsadzeni do transportowca, który, jak się okazało, należał do korpusu interwencyjnego i wywiózł ich do Usumbry – miasta wówczas na terytorium belgijskim – a dokładniej: na lotnisko kontrolowane przez belgijskich spadochroniarzy rekrutujących się z kongijskich kolonów, „drapieżnych, brutalnych i prymitywnych”. Ci oczywiście nie zamierzali uwierzyć, że jedyni obywatele państw bloku radzieckiego, którzy znaleźli się wtedy w Stanleyville, byli akurat dziennikarzami... Przed wykonaniem decyzji o rozstrzelaniu uchroniła Kapuścińskiego po raz kolejny łaskawa ręka Opatrzności – tym razem byli to czarni stewardzi, ostrzegający przed niebezpieczeństwem i sprowadzający pomoc ONZ: w postaci żołnierzy etiopskiego cesarza Hajle Sellasje przebranych w ONZ-owskie mundury, którzy mieli powody, żeby nie lubić Belgów...

Dramatyczne przeżycia kongijskie składają się bez wątpienia na jedno z najważniejszych doświadczeń biografii pisarza. Ale nie mniej ważny wydaje się fakt, że prawie nic z nich nie przeniknęło do powstałych tuż po jego powrocie reportaży. O tym, co go w Kongo spotkało, Kapuściński zacznie przebąkać w wywiadach w połowie lat siedemdziesiątych, a opowie po raz pierwszy w *Wojnie futbolowej* (1978) – „odczytując” na nowo wędrówkę przez Kongo. Znow doszło do oczywistego rozszczepienia materiału przeżyć i ich zapisanej wersji, tym razem chyba poważ-

niejszego niż w przypadku Indii. Bo jeśli wierzyć temu, co sam autor mówi o znaczeniu otarcia się o śmierć, to po podróży kongijskiej był on już innym człowiekiem niż przed nią, choć może nie od razu to sobie uświadomił. Wspomni po latach:

Dopiero teraz zaczęły się godziny tortur. Steward wrzucił do naszej celi okruch nadziei i to wystarczyło, aby wyrwać nas ze stanu wewnętrznego paraliżu, obezwładniającej depresji. Ten rodzaj samoogłuszenia jest psychobiologicznym mechanizmem obrony przed obłędem. Ale wystarczy błysk światła w ciemnościach, aby ci, którzy bezwolnie i apatycznie pograżali się w zapaść, oczekując tylko, kiedy uderzą w dno, zerwali się do nowej wspinaczki. [...] To, co za nimi zostało, to obszar pustki, której nie sposób określić, ponieważ nie ma odniesień, kształtów ani znaków, a której istnienie – podobnie jak w wypadku bariery dźwięku – odczuwamy dopiero w momencie, kiedy się do niej zbliżymy. Wystarczy odsunąć się od tej pustki na krok, aby zniknęła. Ale myślę, że ktoś, kto przez nią przeszedł, nigdy nie będzie już tym samym człowiekiem co przedtem. Pozostanie mu skaza psychiczna, stwardniała zgorzel [...] ²³.

W czasie kongijskiej podróży przeszedł więc Kapuściński istotną przemianę, ale jego czytelnicy nieprędko się o tym dowiedzą. Z punktu widzenia problematyki rozwoju twórczego jest to ważna kwestia, warto więc zapytać: dlaczego tak się stało? Otóż najprawdopodobniej dlatego, że pisarz nie od razu wiedział, co z owym przeżyciem, różniącym się jednak od spotkania ze śmiercią w wersji *Sztynnego*, zrobić. Krańcowość doznań wykluczała raczej możliwość opisanie ich w stylu dotychczasowych „opowieści przygodnych”, a do spojrzenia na nie z jakiegoś innego punktu widzenia Kapuściński nie był jeszcze przygotowany. Bo w reportażach cyklu *Kongo z bliska* nie pominął on całkowicie zdarzeń przygodowych, ale ograniczył je do tego, co zaszło na owej (zapowiadanej w cytowanym liście do przyjaciół z „Polityki”) budzącej strach i podniecenie bajecznej drodze przez puszcze i co dało się przekazać w zgodzie z dotychczasową konwencją zawiadackiego, humorystycznego opowiadania:

Jeśli się dostaniemy, to będzie bomba. Przed nami nikt tą drogą nie jechał. [...] Przeskoczyliśmy piękny most na rzece Uele, za mostem było rozdroże i olbrzymie drzewo, chyba baobab (nie będę przysięgał).

Pod drzewem stały leżaki, na leżakach wojsko. Kiedy nas zobaczyli, łaps za karabiny i do nas. [...] Idą tak, miny groźne do niemożliwości, gniew wielki się w oczach rozpala.

No to klops – mówię do siebie ²⁴.

To nie jest język, którym mówiłoby się o przygodzie ze śmiercią; droga tak opisana nie mogła prowadzić do przeżyć krańcowych. Kiedy Kapuściński dojrzeje do opowiedzenia o kongijskiej traumie, to i tę podróż zobaczy inaczej – tak, chciałoby się rzec, jak trzeba, jako podróż do „jądra ciemności”:

Wszystko zaczęło wyglądać przyjemnie i sielsko, dopóki kilkanaście kilometrów dalej nie zatrzymał nas patrol żandarmerii kongijskiej. [...] Ich zamknięte, ponure twarze, do połowy ukryte w hełmach, były nieprzyjemne. Kazali nam wracać do Sudanu. Jedźcie z powrotem do Sudanu, powiedzieli, bo dalej jest niebezpiecznie, im dalej, tym gorzej. Jak gdyby byli wartownikami piekła, które zaczynało się za ich plecami. [...] Nie wiem, co to było [...], że chcieliśmy jechać dalej tą drogą (na której łatwo było zginąć), a jadąc tak czułem, jak z każdym kilometrem zamyka się za nami coraz to nowy szlaban, zatraskują się kolejne bramy i odwrót staje się coraz bardziej niemożliwy ²⁵.

²³ R. Kapuściński, *Ciąg dalszy planu książki, która mogłaby zacząć się (itd.)*. W: *Wojna futbolowa*, s. 61.

²⁴ R. Kapuściński, *Granica*. W: *Czarne gwiazdy*, s. 95.

²⁵ Kapuściński, *Plan książki [...]*, s. 33–34.

Opisanie spotkań ze śmiercią musiało najpewniej zaczekać także dlatego, że ich okoliczności jaskrawo klóciły się zarówno z Kapuścińskiego ówczesną wizją Afryki, jak i z jego oczekiwaniami wobec samego siebie. Jechał pisarz do Konga, przypomnijmy, z nadzieją na spotkanie z heroicznym początkiem historii największego spośród krajów zdobywających niepodległość, początkiem na pewno dramatycznym, może nawet tragicznym, nie przekreślającym przecież jednak wiary w wielką sprawę antykolonialnej emancypacji kontynentu i w zdolność Afrykanów do wywalczenia i obrony samodzielności. Gdyby zaś opisał swoje najważniejsze doświadczenie, mogłoby się okazać, że niedawni bohaterowie historii są zupełnie bezradni wobec jej ukrytych mechanizmów, a on sam uczestniczył w wydarzeniach na zasadzie ofiary ślepego przypadku – całkowicie uzależnionej od zachcianki i złej lub dobrej woli innych. Wszystko to byłoby niezgodne także z ówczesną oficjalną polską oceną i wykładnią wydarzeń w Kongu i najpewniej nie zostałyby opublikowane. Kapuściński zderzył się z tą wykładnią zaraz po powrocie, pisząc coś w rodzaju ekspertyzy dla PAP, w której słusznie przewidywał niepomyślny dla naszego obozu politycznego obrót wydarzeń: klęskę premiera Gizengi, następcy Lumumby, a zwycięstwo Mobutu i Czombego – polityków reprezentujących interesy niedawnych kolonialistów. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych powiedziano mu, że jeśli ma przywozić takie ekspertyzy, to w ogóle nie będzie więcej jeździł²⁶.

Z tych wszystkich czy innych jeszcze przyczyn Kapuściński w pisanych po powrocie reportażach nie tylko pominął ciąg osobistych przeżyć zainaugurowanych w dzień po śmierci Lumumby, ale i przesłonił je niejako, opisując tylko noc przed nadejściem owego dnia – zaskakująco inną: „Nasłuchiwałem odgłosów z miasta. Czy nie będą strzelać. Czy nie zacznie się odwet. Ale Stan było ciemne, martwe i nieme. Nikt nie zapalał stosów. Nikt nie wyjmował noża”²⁷. Jedynym hałasem zakłócającym ciszę miasta jest przemówienie Lumumby, odtwarzane z magnetofonowej taśmy przez zaprzyjaźnionego Kongijczyka, który tym gestem manifestuje zapewne wolę wierności i wiarę w zwycięstwo, być może tragicznie osamotnione: „Okna są otwarte i słowa wydostają się na ulicę. Ale ulica jest pusta, a bramy są zamknięte. Patrice mówi do pustej ulicy, nie widzi tego, nie wie o tym, jest tylko jego głos”²⁸.

Jest to jedna z ostatnich metafor literackich, na jakie możemy natrafić w opowieściach Kapuścińskiego pisanych w latach 1958–1961. Nie wieńczy ona zresztą cytowanego tekstu (*Jeden z czwórki*), lecz go otwiera jako wstęp do biografii politycznej niezwykle afrykańskiego przywódcy (która z kolei ma być kluczem do zrozumienia odrębności współczesnej afrykańskiej historii), i jest to jakoś znamienne dla przemiany pisarstwa Kapuścińskiego po kongijskiej podróży. Na dłuższy czas żegna się on z literackością właściwą jego ówczesnym reportażom, która rodziła się, przypomnijmy, ze skłonności do doświadczania świata na własną rękę i ze stojącej za nią literackiej filozofii przygody egzystencjalnej, charakterystycznej dla prozy polskiej przełomu piątego i szóstego dziesięciolecia XX wieku. Ale skoro dla najprawdziwszej i najgroźniejszej przygody swojego dotychczasowego życia nie mógł znaleźć języka albo miejsca w pisarstwie, to postanowił w ogóle wyrzec się eksplorowania owej najbardziej własnej warstwy osobistego doświadczenia. Ta, być może nie całkiem świadoma, decyzja dotknęła już przeżycia początku drugiej podróży

²⁶ Zob. Kapuściński, *Ciąg dalszy [...]*, s. 63.

²⁷ R. Kapuściński, *Jeden z czwórki*. W: *Czarne gwiazdy*, s. 112.

²⁸ *Ibidem*, s. 113.

afrykańskiej (odebranie pieniędzy przez funkcjonariusza tajnej policji egipskiej pod groźbą niechybnej śmierci, karkołomna przygoda narkotykowa w stolicy Sudanu, które jak najbardziej zamierzał początkowo wykorzystać pisarsko. W cytowanym już liście z Chartumu donosił Kapuściński redakcyjnym kolegom:

Te 14 dni, jakie dzielą mnie od wyjazdu z Polski, były pełne nerwów, niepokoju i strasznej szarpaniny. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem. Świat jest jednak twardy. Ale będzie co potem pisać. Notes mi już spęczniał²⁹.

Opis perypetii tej części wojażu pojawi się dopiero w *Podróżach z Herodotem* (2004).

Wyrzeczenie się głębokiej warstwy doświadczeń osobistych (czy, jak teraz wiemy, odłożenie ich do późniejszej eksploatacji) łatwo było wtedy Kapuścińskiemu zrationalizować. Mógł w zgodzie z własnym przekonaniem i powołując się na uczestników kolejnych spotkań autorskich twierdzić, że czytelnik polski pragnie teraz wiedzy o nowych państwach w Afryce i zrozumienia afrykańskich procesów politycznych, a nie – „relacji z Konga, jakie widział”³⁰. Kierując się tym przeświadczeniem wypełnia teraz swoje reportaże portretami przywódców kongijskich (bo wobec braku jakichkolwiek miejscowych instytucji wielcy przywódcy byli wtedy najważniejsi), historią ich karier prywatnych i politycznych, zarysem historii partii i nurtów politycznych. Rzeczywistość widziana i doświadczana jest zaledwie punktem wyjścia do uprzystępniania tej ogólniejszej wiedzy o Afryce. Na 12 odcinków cyklu *Kongo z bliska*, drukowanego w „Polityce” w 1961 roku, tylko dwa (o podróży przez puszcę i ofensywie) są relacjami reporterskimi *sensu stricto*. W pozostałych Kapuściński wraca do objaśniającego pisarstwa raczej publicystycznego niż reportażowego. Ale nie można powiedzieć, że podjął złą decyzję. Czytelnicy „Polityki” wybrali go autorem roku.

Zatarcie przełomowego charakteru podróży do Konga, dokonane przez samego autora, zostało pogłębione i utrwalone publikacją książkową (*Czarne gwiazdy*, 1962), która upodobiła do siebie plon obydwu podróży afrykańskich, a w dodatku dość niejasno usytuowała go wobec równocześnie wydawanego zbioru krajowych „opowieści przygodnych”. Zarówno reportaże z Ghany, jak i reportaże z Konga opatrzone zostały – w funkcji tytułów – imionami przywódców (Kwame i Patrice), choć wśród tych z Ghany tylko jeden poświęcony był postaci wodza. Najbardziej literacka opowieść o metaforycznym hotelu „Metropol” okrojona została z elementów przygody egzystencjalnej i umieszczona razem z szyderczym wizerunkiem kolonialistów belgijskich z Konga (*Bon ton w gorącym klimacie*) w prologu pt. *Kolon*, co zamieniło obraz międzynarodowej wspólnoty rozbitków w jeszcze jedną zjadliwość pod adresem afrykańskich białych. Wypadło drugie ważne opowiadanie o charakterze literackim: *Busz po polsku*, które, przeniesione do zbioru reportaży krajowych, użyczyło tytułu całemu tomowi.

Sens tego zabiegu nie jest całkiem jasny. Opowieść o wieczorze przy ognisku naczelnika murzyńskiej wioski, czytana w cyklu reportaży z Ghany, uwypuklała problematykę zderzenia kultur, podkreślała, że w opisie afrykańskiej egzotyki przybysz z Polski nie potrafi uwolnić się od własnego i narodowego bagażu doświadczeń,

²⁹ Kapuściński, *List z Afryki*.

³⁰ Zob. R. Kapuściński, *Po roku*. „Polityka” 1961, nr 25.

przedstawia busz widziany „po polsku”. Niewykluczone, że pozostawienie opowieści w tym cyklu zakłócałoby nowy, publicystyczny i objaśniający charakter książki afrykańskiej, ale umieszczenie jej w eksponowanym miejscu, w zakończeniu cyklu reportażu polskich – cóż mogłoby znaczyć? Czy że jest to taki sam gąszcz spraw trudnych, dramatycznych, dziejących się w dzikim, trudno dostępnym pejzażu, jak na Czarnym Łądzie – tyle że w wersji polskiej? Niezupełnie oczywisty cel tego zabiegu kompozycyjnego, możliwe, iż będącego dziełem wydawnictwa, przygotowującego do druku niemal jednocześnie obydwie tomy, nabiera jednak w perspektywie lat symbolicznego wręcz sensu. To jakby pożegnanie Kapuścińskiego z tymi polskimi czytelnikami, którzy oczekiwali od niego dalszego zainteresowania sprawami krajowymi, *Busz po polsku* bowiem pozostał jego jedyną książką o Polsce. Ja już jestem Afrykańczykiem – mówi przecież autor w tym opowiadaniu – tak mnie nazwał mój przyjaciel z Akry, Kofi, zgodzili się z tym starcy razem z Naną, naczelnikiem wioski, którzy przyjęli mnie do ogniska...

I co więcej, była to prawda już w momencie ukazania się obydwu tytułów, bo pisarz rozpoczynał wtedy, w 1962 roku, pięcioletni okres pobytu w Afryce w charakterze stałego korespondenta Polskiej Agencji Prasowej. Nie wahał się ani chwili, kiedy zaproponowano mu trudną misję zorganizowania pierwszej i jedynej na kontynencie placówki stałego wysłannika PAP. Bo dramatyczne przeżycia kongijskie wcale nie odebrały mu poczucia zadomowienia w Afryce, demonstrowanego zaraz po pierwszej podróży, nasyciły je tylko treścią, która nie pozwoli mu już czuć się dobrze w Europie. Po latach wspomni powrót z Konga:

W wielkiej szklanej bryle, jaką jest lotnisko Fiumicino, paradował wspaniały i – dla nas w tym momencie – niezwykle egzotyczny świat zadowolonej, sytej i spokojnej Europy [...], więc kiedy ten niebywały świat przepływał przed nami [...], poczułem nagle – i przeraziłem się tą myślą – że prawem smutnego, a nawet potwornego paradoksu byłem bardziej zadomowiony tam, w Stanleyville i w Usumbrze, niż w tym mijającym mnie teraz tłumie ³¹.

Abstract

ZYG MUNT ZIĄTEK

(The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences, Warsaw)

POLISH AND AFRICAN CASUAL HISTORIES. ON THE BEGINNINGS OF RYSZARD KAPUŚCIŃSKI'S REPORT

The text presents the shaping of Ryszard Kapuściński's writing in his important years 1959–1961 – from quitting the daily “Sztandar Młodych” (“The Banner of Youth”) up to his leaving for Africa as a press correspondent for the Polish Press Agency. It is the time of his work for the later famous weekly “Polityka” in the reports section, numerous reporter's trips to the Polish province and two first African trips, namely to Ghana in 1959 and to Congo in 1960. At this time Kapuściński writes texts later collected into two books *Polish Bush* (1962) and *Black Stars* (1963), both of which gain readers' immense attention and critics' interest. Kapuściński's reports belong to the first after Stalinist period to acquaint the Polish readers with the current world history, and the relation is true, free of ideological simplifications. Home reports are characterized by connections with the then existentialist interests of Polish prose and belong as much to journalism as to literature thus livening up a discussion on the relationship between those two writing domains.

³¹ Kapuściński, *Ciąg dalszy [...]*, s. 63.